

BONIFACY GAJDIK

Dykteryjki o doktorze Orłowiczu

Doktora Mieczysława Orłowicza poznałem w 1945 r. Był on pracownikiem ówczesnego samodzielnego Wydziału Turystyki przy Ministerstwie Kolei w Warszawie. Ja również od 1945 r. pracowałem „w turystyce” — najpierw jako kierownik Referatu Turystyki Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, a następnie jako przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Turystyki w tymże mieście.

Urzędowe kontakty z Doktorem przemieniły się z biegiem czasu w przyjacielskie. Orłowicz przez wiele lat, zawsze w marcu, odwiedzał mnie i moją rodzinę w Dąbrówce Wielkiej na Śląsku. Bardzo często brałem udział w licznych objazdach terenowych¹⁾ organizowanych przez Doktora i stąd często przebywałem w jego towarzystwie, nie mówiąc o stałych naszych kontaktach listownych czy telefonicznych.

Te styczności pozwoliły mi poznać Orłowicza, zrobić kilkadziesiąt zdjęć fotograficznych jego osoby, usłyszeć wiele ciekawych źródłowych wiadomości na temat historii i rozwoju polskiej turystyki i krajoznawstwa. Doktor swoje wypowiedzi lubił przeplatać dygresjami lub żartami, naturalnie związanymi tematycznie z turystyką. Lubiał również mówić o sobie,

zwłaszcza jeśli to były żarty i facecje dotyczące jego osoby.

Chcę tu podać kilka zachowanych w pamięci żartobliwych i humorystycznych opowiadań. Usłyszałem je bezpośrednio z ust Doktora. W kilku przypadkach byłem bezpośrednim świadkiem opisanych zdarzeń.

Przed pierwszą wojną światową Lwów należał do Austrii i wycieczki z tego miasta w Alpy nie napotykały na żadne przeszkody celno-paszportowe, toteż Orłowicz wraz z kolegami w okresie wakacji studenckich często udawał się w te góry.

W tym czasie turyści austriaccy w Alpach, zamiast walizek, zaczęli używać do noszenia ekwipunku i prowiantu plecaków. Można było je jednak nabyć jedynie w Wiedniu. W czasie jednej z wycieczek w Alpy Orłowicz i jego koledzy zakupili plecaki.

Po powrocie do Lwowa i po wyjściu przed dworzec grupy młodych turystów z plecakami, miejscowi przechodnie zaczęli się za nimi rozglądać i ostrzegać jedni drugich: „Uważajcie, rozpoczął się najazd żebraków na Lwów, trzeba być ostrożnym, mogą być kradzieże”.

W pierwszych latach niepodległości (a więc przed ok. 50 laty*) Orłowicz pracował jako starszy referent do spraw turystyki w Ministerstwie Robót Publicznych. Była to jednoosobowa i jedyna w owym czasie komórka na szczeblu władz centralnych, zajmująca się tymi problemami w kraju.

Doktor znaczną część dnia, również poza godzinami pracy, spędzał w swym biurze, toteż różni jego przyjaciele — a Orłowicz miał ich liczne grono, zwłaszcza we Lwowie, z czasów studenckich, z czasów pierwszych wycieczek — wpadali do niego z krótkimi odwiedzinami.

Jeden z przyjaciół, będąc służbowo w Warszawie postanowił przy okazji odwiedzić Doktora w ministerstwie. Wchodząc do pokoju zauważył, że Doktor uciał sobie drzemkę za biurkiem. Nie chcąc go budzić, usiadł naprzeciwko i cierpliwie czekał, aż Orłowicz sam się zbudzi.

Należy wyjaśnić, że Doktor wracał nocą z delegacji pociągiem osobowym i wprost z dworca kolejowego przyszedł po nieprzespanej nocy do pracy.

W czasie drzemki Doktorowi się śni, że jest w restauracji i czeka już od dłuższego czasu na zamówiony sznycel po wiedeńsku. W chwili, gdy budzi się, w półśnie widzi przed sobą gościa w białej marynarce (w owym czasie w okresie kaniкуły mężczyźni nosili białe płócienne marynarki, takie jakie noszą kelnerzy) i z wyrzutem odzywa się: — Panie, kiedy wreszcie przyniesie mi pan zamówiony sznycel!

W roku 1923 Doktor wydał obszerny (292 strony) *Ilustrowany Przewodnik po Mazurach Pruskich i Warmii* nakładem Książnicy Atlas we Lwowie 2).

*) Tekst ten powstał mniej więcej 10—12 lat temu. Wydobyliśmy go z archiwum redakcyjnego i drukujemy w przekonaniu, że jest autentyczny i wartościowy. (Red.)



Mieczysław Orłowicz. (Fot. B. Gajdzik)

Przy pisaniu przewodników Doktor, niezależnie od przestudiowania literatury, dostępnych materiałów i uporządkowania własnych wiadomości, miał zwyczaj zwracać się listownie do swych znajomych i przyjaciół w terenie z różnymi pytaniami dotyczącymi tematyki przewodnika, a nawet przysyłać im do korekty fragmenty napisanych już tekstów. Gdy przewodnik był już prawie gotowy, Doktor często wyjeżdżał w teren, by sprawdzić osobiście szczegóły przedstawione w rękopiśmie.

Podobnie było z przewodnikiem po Mazurach. Doktor wyjechał na Mazury i w swej wędrowce dotarł do Giżycka. Spacerując po miasteczku zauważył szyld z napisem: „W. Orłowicz-Restaurant”. Wszedł więc do restauracji, by osobiście porozmawiać ze swoim imiennikiem. Przedstawiając się podał swe nazwisko i skąd pochodzi. No to restaurator z wielkim zdziwieniem: — To i u was w Polsce są ludzie o nazwisku Orłowicz?

Orłowicz, jako pracownik Ministerstwa Komunikacji, które opiekowało się turystyką, brał udział w międzynarodowych konferencjach i zjazdach turystycznych.

W okresie międzywojennym jeden ze zjazdów odbywał się w Portugalii. Polskę reprezentował Doktor.

Jak zwykle solidnie przygotowywał się do wyjazdu. Zapoznał się z trasą wycieczki po Portugalii, jaką gospodarze przewidzieli dla uczestników. Szczególnie dokładnie przestudiował literaturę dotyczącą historii Portugalii i opis obiektów krajoznawczych.

W czasie trzydniowej wycieczki zjazdowej towarzyszący uczestnikom portugalski przewodnik omawiał napotymane na trasie zabytki krajoznawcze jakoś bardzo niedokładnie i bez znajomości zagadnienia. Wówczas Doktor zaczął na własną rękę w gronie swych najbliższych towarzyszy wycieczki objaśniać napotymane osobliwości krajoznawcze. Robił to tak interesująco, że coraz liczniejsza grupa gromadziła się wokół niego. Pozostawiony na boku cicerone, widząc w Doktorze znaczącą poprosił go, by przejął całą grupę. Dodał przy tym, że zapewne Doktor jest urodzonym Portugalczykiem, albo też dłuższy już czas przebywa w Portugalii. *De facto* Doktor po raz pierwszy był w tym kraju.

W ten sposób stał się przewodnikiem na dalsze dwa dni zjazdowej wycieczki.³⁾

Dr Orłowicz, już jako starszy radca Ministerstwa Komunikacji, które turystykę przejęło po Ministerstwie Robót Publicznych, miał bilet kolejowy upoważniający go do przejazdów w klasie pierwszej wszystkimi liniami PKP.

Na jednej ze stacji kolejowych Doktor wchodzi do wagonu pierwszej klasy, a przechodzący obok konduktor zwraca mu uwagę: — Dziadku — czwarta klasa znajduje się w końcu pociągu.⁴⁾

Doktor oczywiście zajął miejsce w klasie pierwszej. Przy kontroli biletów konduktor wchodząc do przedziału w ostrych słowach zwrócił się do Doktora: — Przecież mówiłem wam, dziadku, że klasa czwarta znajduje się na końcu pociągu, a macie chociaż bilet?

Doktor nic nie mówiąc okazuje konduktorowi stały bilet ministerialny. Konduktor wybitnie speszony staje na baczność, salutuje i opuszcza przedział.

W latach 1947—1949 dr Orłowicz organizował półciężarowym samochodem objazdy Ziem Odzyskanych, by zapoznać się ze stanem urządzeń technicznych obiektów krajoznawczych oraz zebrać materiał opisowy i fotograficzny tych Ziem. Towarzyszyły mu osoby zajmujące się z urzędu turystyką, a więc referenci turystyki prezydentów wojewódzkich rad narodowych i DOKP oraz znani fotograficy tacy jak (z Warszawy) Jan Bułhak, Tadeusz Dohnalik, Edward Falkowski, (z Krakowa) Stanisław Mucha i Henryk Hermanowicz i inni, wśród których byłem i ja, jako początkujący fotograf krajoznawczy.

Celem jednego z takich objazdów było województwo szczecińskie. Orłowicz, zawiadamiając mnie o objeździe, wyznaczył punkt zborny w Szczecinie, gdzie miał nas oczekiwać dr Czesław Piskorski. Dodał przy tym, że pociąg z Katowic spotyka się wcześniej rano w Poznaniu z pociągiem pospiesznym Warszawa-Poznań-Szczecin, którym on wraz z Dohnalikiem będą jechać do Szczecina i że Doktor w Poznaniu będzie wyglądał oknem, czekając na mnie.

Po wjeździe pociągu warszawskiego na peron w Poznaniu nigdzie nie zauważyłem brodatego oblicza. Wsiadłem więc do ostatniego wagonu i szedłem zaglądając do każdego przedziału, przekonany, że Orłowicz zasnął w czasie jazdy.

W jednym z przedziałów zauważyłem drzemiącego p. Dohnalika, a obok siedzącego Doktora, zmienionego nie do pozna-



Na wędrowce sierpniowej w Sudetach. Od lewej: Zbigniew Afanasowicz, Maria Dulębina, Mieczysław Orłowicz i Danuta Kozakówna. (Fot. T. Dohnalik)

nia. Widząc moje zmieszanie, z uśmiechem wyjaśnił: — Trudno, żeby mnie Pan poznał, gdy wyglądałem oknem, bo jak Pan widzi zupełnie nie jestem podobny do siebie. Ale niech Pan siada, zaraz Panu wszystko opowiem:

— Otóż, dwa dni temu jechałem nocą pociągiem osobowym do Przemyśla, gdzie mieliśmy konferencję, i wprost z pociągu

poszedłem do fryzjera, by się ostrzyć. Kiedy fryzjer zapytał, jak ostrzyć — odpowiedziałem: „krótko” — i w tej chwili zasnąłem. Po dłuższej chwili budzę się i widzę w lustrze, że przede mną siedzi ktoś zupełnie niepodobny do mnie.

Podenerwowany pytam więc fryzjera: — Panie, co Pan ze mną zrobił? — A on na to z całym spokojem: — Przecież Pan

chciał „krótko”, a u nas w Przemysłu „krótko” znaczy wygolić włosy na głowie brzytwą.

I stąd, jak Pan widzi, moja metamorfoza.

Orłowicz był znany ze swej punktualności oraz konsekwentnej realizacji programu organizowanych wycieczek. Program wycieczki, w którym podawał codzienną marszrutę, z postojami na posiłki i noclegi, był rozsyłany do grona osób, które utrzymywały z nim kontakt.

Mając tak szczegółowy program, bardzo łatwo było włączyć się do wycieczki Doktora, obojętnie, w którym dniu wycieczki i na jakim odcinku trasy⁵⁾. I tak często bywało w corocznych tradycyjnych dwutygodniowych wycieczkach pieszych.

Doktor zasadniczo nie czekał na spóźnialskich, którzy niejednokrotnie wycieczkę dopędzali, pociągiem lub autobusem, dopiero na noclegu. Stąd na wycieczkach dyscyplina była bardzo wysoka i nie tracono cennego czasu.

O konkretnej realizacji programu każdej wycieczki mówi następujące wydarzenie.

Orłowicz rozesłał znajomym program wycieczki niedzielnej do Katowic i Świerklańca.

Spora grupa z Doktorem na czele przyjechała z Warszawy do Katowic. Niestety, pogoda nie dopisała i tej niedzieli lato jak z cebra. Mimo to zwiedzono przed południem miasto oraz park w Chorzowie. Przemoczeni do nitki uczestnicy, popijając kawę w jednej z kawiarni katowickich, suszyli swe okrycia. Nikt nie miał zamiaru kontynuować dalszego programu wycieczki, tj. jechać autobusem z Katowic do Świerklańca. Jedyne Doktor, wierny swej zasadzie, że należy zrealizować cały program, sam jeden wsiadł do autobusu i pojechał.

Znając program, bez żadnego przekonania, że w taką pogodę mogą zastać wycieczkę w Świerklańcu, wziąłem pelerynę

i rowerem pojechałem. Jakież było moje zdziwienie, gdy o podanej godzinie zobaczyłem Orłowicza wysiadającego samotnie z autobusu.

Doktor zapewnił mnie, iż był przekonany, że ja również przyjadę do Świerklańca.

Mimo deszczu zwiedziliśmy park i jego zabytki oraz pospacerowali alejami wysadzonymi dębami, które — jako że była to jesień — zagrały wspaniałą czerwieńią swych liści.

Doktor w czasie swych wędrówek turystycznych, dłuższych czy krótszych, nigdy nie rozstawał się z plecakiem, chociaż poza peleryną, mapami i przewodnikami nic więcej w plecaku się nie znajdowało. Doktor twierdził, że jedzenia nie warto z sobą nosić, bo wszędzie można je dostać, a plecak nosi przede wszystkim dlatego, że jest mu ciepło w plecacy.

Orłowicz, przeglądając fotografie z wycieczek, zwłaszcza fotografie grupowe, często lubił je z humorem skomentować.

A oto przykład takiego komentarza napisanego na kartce pocztowej, jaką otrzymałem w dniu 12 grudnia 1948 r.

„Dziękuję za dwie fotografie grupy z Ziemi Lubuskiej. Jedną wręczyłem już p. T., który wygląda na niej jak amant filmowy, a p. J. jest naturalnie rozpromieniona z takiego (! — red.) sąsiada. Ja i pani L. to jest druga czuła para, a mistrz Henryk patrzy na wszystko sarkastycznym wzrokiem. Pan H. jest mniej podobny do siebie, a więcej do p. W. Całość bardzo dobra”. Inny przykład z 26 kwietnia 1957 r.:

„Najlepiej podoba mi się ta fotografia gdzie jestem, jak to mówią dla malowideł kościelnych „Samotrzc”, to znaczy z dwoma innymi osobami, którymi są wielce czcigodni Bożenka i Włodzio.”

Doktor utrzymywał kontakty ze swymi kolegami czy znajomymi także za pomocą obfitej korespondencji. Pisał na kartkach pocztowych czy widokówkach, często na widokówkach z różnych miast Polski, chociaż w danym czasie przebywał w Warszawie. O ilości wysyłanej korespondencji może świadczyć jego kartka pocztowa pisana do mnie 26 kwietnia 1937 r.: „W Wielkim Tygodniu nie miałem czasu odpisać, bo wysłałem 50 życzeń wielkanocnych. W tym tygodniu znowu trzeba wysłać sporo podziękowań za życzenia oraz aż 75 osób zawiadomić o wycieczkach wiosennych, które rozpoczynamy w najbliższą niedzielę...”

O beztróskim humorze Orłowicza, który zawsze go cechował, mogą świadczyć rymowane życzenia z różnych okazji, czy też wierszowane dedykacje na prezentach książkowych. Nigdy nie silił się na „wielką poezję”, ale pisał wprost od serca, stylem wierszy kalwaryjskich, jak sam je określał.

Przesyłając 12 marca 1954 r., z okazji imienin córki Bożeny, album *Malowane domy* Wandy Borudzkiej, Doktor umie-

ścił w nim taką dedykację (na stronie tytułowej, pod rysunkiem gołąbka):

*Ten gołąbek małeńki
Niech w dal ieci do Bożenki.
Niech ku zabawie oraz ku nauce,
Ten album jej zawiezie o ludowej sztuce.
Motywy i wzory ze sztuki ludowej
Może się do fotografii przydadzą Tatusiowej.*

Życzenia z 14 grudnia 1938 r.:

*Z Oplatka Zespół Wycieczkowy śle Państwu
pозdrowienia*

*I przesyła serdeczne życzenia,
Niech przyjemnie zejda święta
Smakuje wigilla, wino i prosięta!
Niech się też przy Nowym Roku
Powodzi na każdym kroku!
Niechaj rok będzie spokojny
Bez bomb atomowych i wojny,
By mogły Doktora owieczki
Beztrósko chodzić na wycieczki!*

Podobne imieninowe życzenia z 12 marca 1959 r. dla córki Bożeny:

*W dniu Imienia
Życzę zdrowia, szczęścia, powodzenia.
Niechaj się w szkole powodzi
A zdrowiu grypa nie szkodzi.
Na razie posyłam stodycze,
Lecz tego za prezent nie liczę.
Gdy przyjadę osobiście
Coś dodam oczywiście.*

*Taki sobie Wujaszek
Skory do igraszek*

PRZYPISY

1) Objazdy terenowe organizowane przez dr Orłowicza to jeden z istotnych elementów w historii polskiego krajoznawstwa i turystyki. Objazdy te miały szczególnie wielkie znaczenie w latach 1945—1950. Prowadził je Orłowicz jako seminaria krajoznawcze przeznaczone dla referentów turystyki przy Dyrekcjach DOKP i prezydiach wojewódzkich rad narodowych. Były one organizowane co roku w innym rejonie, a prowadzili po trasach i objaśniali czołowi polscy krajoznawcy. Na przykład, gdy objazd rozpoczynał się w Gdańsku, grupę prowadził Franciszek Mamuszka, ze Szczecina — do dziś tam działający dr Czesław Piskorski itp. W wyniku tych objazdów powstawały pierwsze przewodniki po odzyskanych Ziemiach Zachodnich i Północnych oraz pierwsza dokumentacja fotograficzna tych obszarów.

*) W tym okresie Warmia i Mazury wchodziły w skład Rzeszy Niemieckiej, ale mieszkała tam ludność polska i Polacy odwiedzali te tereny. Dlatego też Orłowicz napisał przewodnik po tej ziemi.

*) Należy tu zaznaczyć, iż Orłowicz — podobnie jak wielu ludzi jego pokolenia — był poliglotą. Oprócz niemieckiego, ukraińskiego, czeskiego, znał też dobrze francuski, nieco włoski, a nawet hiszpański.

*) Konieczne jest tutaj wyjaśnienie dotyczące zewnętrznego wyglądu Doktora. O strój dbał nie za bardzo. Zawsze chodził w ciężkich butach turystycznych, obszernej pelerynie, na plecach miał dość potężny (i zniszczony w turystycznych wędrówkach) plecak. Do tego obrazu trzeba dodać brodę, czapkę cyklistówkę oraz łaskę. Zapewne dlatego konduktor nazwał go „dziadkiem”. A było to w czasach, gdy koleje posiadały jeszcze wagony podzielone na cztery klasy.

*) Typowy program wycieczki rozsyłany do znajomych z całej Polski.

dr M. Orłowicz

Warszawa, dn. 7 października 47 r.

Program wycieczki w niedzielę 19 października na kolory jesieni w parkach śląskich

Zeszłoroczna wycieczka do parków śląskich w kolorach jesieni nie udała się z dwóch powodów: wyznaczono ją za wcześnie 13 października, kiedy kolorów jesieni jeszcze nie było, po drugie dzień był mroczny i deszczowy od rana do wieczora. Zatem w myśl zasady „do trzech razy sztuka” powtórzmy próbę w tym roku 19 października, posługując się z braku auta — tylko koleją i autobusem.

Uczestnicy z Warszawy przyjadą nocnym praskim pociągiem pospiesznym, który przychodzi do Katowic o godzinie 6⁰⁰, a do Pszczyzny o godz. 7⁰⁰. Tutaj na zwiedzenie parku i zjedzenie śniadania mamy dwie godziny czasu. Odjazd do Katowic nastąpi o godz. 9⁰⁰ pociągiem pospiesznym, przyjazd o godz. 10⁰⁰. W Katowicach przeszło dwugodzinny pobyt będzie wykorzystany na zwiedzenie parku miejskiego (wzgl. suma w katedrze) i zjedzenie obiadu. O godz. 13⁰⁰ nastąpi odjazd autobusem z rynku w Katowicach do Świerklańca, gdzie się znajduje jeden z największych parków w Polsce (200 ha); przyjazd o godz. 14⁰⁰. Przeszło 2 godz. czasu powinno starczyć na zwiedzenie parku, którego w ubiegłym roku nie widzieliśmy zupełnie. O godz. 16⁰⁰ odjazd autobusem ze Świerklańca, powrót do Katowic o godz. 17⁰⁰, następnie rozjazd w pielesze domowe. Ci, którzy będą mieli pociąg później, urządują sobie gdzieś zbiorowy podwieczorek albo pójdą do kina.

Wycieczkę można ograniczyć tylko do drugiej połowy, tj. do Katowic i Świerklańca pomijając Pszczynę. Wtedy wystarczy się zgłosić na iworcu w Katowicach o godz. 10⁰⁰, względnie przy autobusie do Tarnowskich Gór na rynku przed godz. 13⁰⁰. (Tu następuje szczegółowy wykaz dojazdów do Katowic z różnych miejscowości — red.).

dr M. ORŁOWICZ